Cena 18 fen. = 13 cent.



ŚWIATŁO

Rok X. Bytom G.-Ś., 15-go Sierpnia 1896. Nr. 16.

„ŚWIATŁO" wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

NIEGODNY.

(Ciąg dalszy.)

XI.
Niespodziane wyznanie.

A więc teraz, lub nigdy! Tak jest, nadeszła wreszcie pożądana chwila! Nie mam już więcej ani minuty do stracenia! Takie myśli zajmowały Edytę, gdy siedząc w swoim pięknym pokoju, spoglądała przez okno na pola oświetlone słońcem wrześniowego poranku.

Naraz powstała z krzesła i zaczęła się przysłuchiwać. Na dziedzińcu zamkowym rozlegał się właśnie tętent puszczonego kłusem wierzchowca. Przez okno spostrzegła Franciszka, jadącego do stacyi kolei żelaznej.

Twarz Edyty zajaśniała dziwną radością.

— Odjeżdża! a więc już nikt mi nie stanie na przeszkodzie!

Skoro jeździec zniknął jej z oczu poza bramą zamkową, odetchnęła całą piersią, wiedziała bowiem, że miał dopiero powrócić późnym wieczorem. I on także przebył tegoż samego rana straszliwą scenę z ojczymem, i nie trzeba było zbyt wielkiej przenikliwości, ażeby odgadnąć, iż scena owa pozostawała w bezpośrednim związku z migreną Pauli.

Przynajmniej Edyta wytłómaczyła sobie w ten sposób nagłe zasłabnięcie przyjaciółki.

— A jednak nie dopięliście jeszcze waszego celu! — Edyta mówiła do siebie. — Szczęśliwa Paulo, nie powinnaś zapominać o tem, co mówi jeden z waszych poetów: że pomiędzy czarą i ustami, leży jeszcze cała nieznana kraina. Za godzinę cała wasza intryga upadnie i przy mnie zostanie zwycięztwo.

Tak rozmyślając, Edyta wyszła na korytarz i przez drzwi niezamknięte wsunęła się do sali jadalnej. Stanąwszy przed portretem Maryi Hohenhofen, zaczęła mu się nanowo przypatrywać z największą uwagą; potem poprawiła to i owo we własnem ubraniu i ułożyła przepyszne jasne włosy w ten sam sposób, jak warkocze Maryi na obrazie. Przejrzała się w zwierciadle, i uśmiech zadowolenia opromienił jej lice. Teraz dopiero leciuchnym krokiem przebiegła długi szereg salonów i wydostała się do sieni prowadzącej ku mieszkaniu Hohenhofena.

Bez wahania otworzyła ostróżnie drzwi jednego z bocznych pokojów, gdzie pilnie wodząc oczyma, spostrzegła starego Fryderyka w szerokiej framudze okna. Siwa jego głowa opadła na rękę, którą oparł o okno; oczy były zamknięte, chociaż sługa nie spał bynajmniej. Gwałtowny przestrach odmalował się na jego twarzy, gdy spostrzegł przed sobą miss Frinksly. Ale ona czemprędzej położyła palec na ustach, nakazując milczenie, potem zaś uprzejmie nachylając się do staruszka, poszepnęła mu do ucha:

— Przychodzę tu od Pauli, która będąc cierpiącą pozwoliła mi nakoniec wyręczyć się na chwilę. Ty Fryderyku masz iść natychmiast do biednego fabrykanta Balba, aby zanieść mu tę zapomogę.

— Ależ droga miss Frinksly, — odważył się zrobić uwagę Fryderyk, — przecież panna Paula wie dobrze, że ja się nie mogę ztąd ani ruszyć, dopóki sama nie nadejdzie — bo pan Franciszek wyjechał, a moja Małgorzata poszła pilnować kobiet w pralni.

— A więc ja tu tymczasem zostanę, Fryderyku, a jeżeliby pan zadzwonił, będę umiała sobie z nim poradzić.

Stary przecząco poruszył głową.

— A niechże Bóg zachowa miss Frinksly! Nasz jegomość będzie zły, oj! zły straszliwie jak kogo obcego zobaczy.

— Przecież nie jestem obcą dla niego; wczoraj bowiem kiedyś ty odpoczywał, Paula zaprowadziła mnie do starego pana. On to sam mnie prosił, ażebym niekiedy zastępowała przy nim troskliwą synowicę.

Fryderyk czuł się zaledwie przez połowę przekonanym, lecz równocześnie cenił zbyt wysoko miss Frinksly, ażeby nie miał ufać jej wyrazom. Nie namyślając się jednak dłużej, postanowił natychmiast wykonać rozkaz swej młodej pani, udzieliwszy jeszcze przed odejściem mnóstwo uwag i przestróg.

Edyta słuchała napozór z wielkiem zajęciem, ale zaledwie ujrzała się samą, czemprędzej podniosła ciężką portyerę, zasłaniającą pokój chorego. Stanąwszy w głębokiej framudze u drzwi, zatopiła badawczy wzrok w twarzy Hohenhofena, który siedział w ogromnym fotelu, z głową opartą na poduszce. Nie spostrzegł on wcale natrętnego gościa, podobnie jak nie zdawał się uważać na złociste promienie słońca, pomimo gęstych firanek, zakradające się do jego pokoju. Hohenhofen był jednym z owych ludzi, którzy tracąc pierwotną piękność, nie przestają przecież być zajmującymi. Edyta rozważała, jak też musiały wyglądać te surowe rysy, kiedy zadrgały namiętnością i roziskrzyły się błyskawicami gniewu lub nienawiści. Starzec, jęknąwszy zcicha, zaczął się poruszać. Jednocześnie poduszka, na której opierał głowę, osunęła się.

W mgnieniu oka Edyta pochwyciła poduszkę i z wielką zręcznością podsunęła ją na nowo pod głowę starca.

— Powracasz więc znowu do nieznośnego złośnika, biedna Paulo! — przemówił starzec pieszczotliwie, zwracając powoli wzrok na dziewczynę. Ujrzawszy jednak przed sobą twarz nieznajomej, wyprostował się z trudnością i zmierzywszy od stóp do głowy jej postać, zapytał:

— Któż pani jesteś? czego żądasz ode mnie?

— Jestem Beata de Silvo, a żądam bardzo wiele, bo przychodzę upomnieć się o przebaczenie i miłość ojcowską, dla twojej córki Maryi!

Starzec spojrzał na nią osłupiałym wzrokiem, a jednakże to imię, które dotąd wywoływało zawsze wybuch gniewu w jego duszy, wywarło na nim teraz zupełnie przeciwne wrażenie — dowiedział się, że Marya już nie żyła. Słowa te: »prawa wydarte zmarłej« przeszyły jak grom jego duszę i zdruzgotały odrazu nieugiętą dotąd pychę.

Córka z przekleństwem wypędzona z domu, córka którą niegdyś tak kochał, nie należała już do żyjących. Śmierć przynosi z sobą pojednanie. To, czego dotąd ten nieugięty człowiek odmawiał żyjącej, teraz nie mógł odmówić zmarłej. Miłość mimowolnem wspomnieniem

odżyła w jego duszy. Dreszcz wstrząsał schorowanem ciałem. Edyta pochwyciła pomarszczoną rękę starca i okrywając ją pocałunkami, mówiła ze wzruszeniem:

— Posłuchaj mnie, dziaduniu!

Te ostatnie słowo wymówiła ze szczególnym naciskiem, a dźwięk jego głosu przedarł się do głębi duszy Hohenhofena.

— Nie odpychaj od siebie twojej wnuczki, która jako sierota opuszczona od wszystkich, przybyła do twego domu. Tak jest, tu do tego zamku, gdzie miałam prawo zapukać w imię najbliższego związku krwi, łączącego mię z tobą, przybyłam jako służąca. Nie wzdrygnęłam się przed tem upokorzeniem, nie obawiałam się trudów odległej podróży z Brazylii; nie cofnęłam się nawet przed podstępem, byle się dostać do ciebie, którego tak starannie strzeżono przed wspomnieniami. Ale nie mam zamiaru niszczyć niczyich nadziei, nie żądam twoich dóbr i pieniędzy, ja pragnę tylko twojej miłości, dziaduniu!

To już było nad siły starca. To o co go błagano nadaremnie przez całe lat dwadzieścia, to do czego własne serce nie potrafiło go nakłonić, w jednej chwili zostało na nim zdobyte przemożną siłą okoliczności. Uczuł się zwyciężonym od tego śmiałego dziecka, które zamiast prosić przyszło się upominać o swoje prawa. Nie błagało jego łaski, ale żądało tego, co mu się słusznie należało. Prośby, zaklęcia rozbiły się o żelazną dumę, ale głos obrażonej sprawiedliwości znalazł przystęp do jego duszy.

Zdawało mu się, iż w energicznem wystąpieniu wnuczki poznał swoją własną naturę. Wzrok jego przebiegał badawczo po jej nadobnej twarzy, ale zamiast wielkich błękitnych oczu Maryi, które poraz ostatni tak błagalnie patrzały na niego, napotkał dwie gwiazdy osobliwszego blasku.

— Ona już nie żyje! Umarła, moja biedna Marya! — zawołał, ściskając konwulsyjnie rękę dziewczęcia.

— Tak dziaduniu! Umarła przed czterema laty w samotnym domku, wśród lasów Brazylii, ale aż do samej śmierci nie przestała myśleć o tobie. Nigdy nie przestała cię kochać i żałować tego, że ci tak zakrwawiła serce. Ileż to razy wyznawała ten żal swój w listach, ale byłeś nieubłaganym — to właśnie najwięcej ją bolało.

Chory zrobił gwałtowne poruszenie rozpaczy i opuściwszy głowę głośno jęknął. Przez chwilę zdawał się prawie martwym, Edyta nie poruszyła się także; głęboka cisza zaległa w całem mieszkaniu.

Skoro nareszcie starzec odjął ręce od twarzy, odmalował się na niej znowu wyraz dawnej surowości; zwracając się ku wnuczce zapytał z wielkim chłodem:

— A twój ojciec?

— O! i on już nie żyje — odpowiedziała krótko.

Ta odpowiedź była jednakże aż nadto wystarczającą. Hohenhofen objąwszy drżącemi rękoma głowę wnuczki, w milczeniu przytulił ją do piersi. Edyta ośmielona tą nieomylną oznaką przebaczenia, mówiła:

— Przy pomocy właściciela domu, w którym umarł mój ojciec, popłynęłam do Europy i dostałam się do człowieka, który pomimo ciężkiego zawodu doznanego ze strony mej matki, zachował dotąd dla jej pamięci życzliwe wspomnienie. Okazał się on równie życzliwym i dla jej córki; przyjął nieznaną sierotę i utorował jej drogę do ciebie, w skutek jego to bowiem protekcyi zajęłam miejsce towarzyszki Pauli. Bawię tutaj już od pięciu tygodni, nie dając nikomu do zrozumienia, kim jestem właściwie, wyczekując niecierpliwie sposobności, ażebym ci się mogła przedstawić. Ale krewni strzegą cię tak zazdrośnie.

— Daj pokój moje dziecię! — przerwał jej chory tonem rozkazu; — nie obrażaj twoich najlepszych przyjaciół.

— Moich najlepszych przyjaciół! — powtórzyła Edyta głosem tak szyderczym, że Hohenhofen spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Biedne dziewczę! — rzekł ze współczuciem, — a więc życie musiało ci już bardzo dokuczyć, kiedy cię na-

uczyło być tak podejrzliwą. Jesteś jeszcze dzieckiem prawie, a już spoglądasz na ludzi z owem złem uprzedzeniem, które nie dozwala ocenić najszlachetniejszych charakterów. Dowiedz się zatem, że oskarżasz tych, którzy właśnie najgorliwiej wstawiali się za twoją matką!

Edyta niedowierzająco spojrzała na chorego i rzekła w zamyśleniu:

— Słusznie powiedziałeś dziaduniu, że nieszczęście zbyt wcześnie nauczyło mnie niedowierzać ludziom. Nie odmawiaj mi więc — i w mojej obecności wyjaw Pauli i Franciszkowi kim jestem; dozwól mi się nacieszyć wrażeniem, jakie ta niespodziana wiadomość wywoła na ich twarzach.

— Niech i tak będzie, — rzekł Hohenhofen osłabionym głosem. — A teraz opowiedz-że mi coś więcej o mojej biednej Maryi.

— O! później, później dziaduniu; teraz potrzebujesz spokojności; — i poprawiwszy starannie poduszki, dodała pieszczotliwie:

— Uspokój się i wypocznij nieco, najdroższy dziaduniu! Ja tymczasem pójdę poszukać listu, który pan Bergmanns napisał do ciebie, oraz innych dowodów tożsamości mojej osoby. Wszakże nie wypędzisz mnie już od siebie?

Hohenhofen raz jeszcze przytulił jej głowę; troskliwość wnuczki rozczuliła go niezmiernie. Edyta, ucałowawszy jego rękę, odeszła. W przedpokoju oczekiwała na nią nowa niespodzianka, tam bowiem obok drzwi otwartych klęczał sędziwy sługa, a jego twarz była zalana łzami. Kiedy zbliżyła się do niego, pochwycił jej drobną rączkę i okrył pocałunkami.

Sługa był niewidzialnym świadkiem poprzedzającej sceny, gdyż zaniepokojony opuszczeniem swego stanowiska, raz jeszcze wrócił do przedpokoju. Z niemem zdumieniem przysłuchiwał się całej rozmowie, a skoro mógł zmiarkować, że nieugięta duma jego pana ustąpiła lepszym uczuciom.... padł na kolana i dziękował Bogu. Łzy jego płynęły obficie, opłakiwał bowiem Maryą, której duch mógł teraz swobodnie zwracać się ku ojcowskiemu domowi.

Usta starca nie mogły się zdobyć na wyrazy, lecz Edyta zrozumiała go doskonale i zapytała ze wzruszeniem:

— Poczciwy Fryderyku! będziesz mnie kochał tak samo jak moję matkę, którą niegdyś nosiłeś po tym ogrodzie?

Jąkającym głosem starowina powtórzył uroczyste przyrzeczenie.

— Teraz nawet już musisz mi dać dowód twego przywiązania, przez dochowanie tajemnicy. Jeszcze nikt nie powinien wiedzieć, kim jestem. Czy mi to przyrzekasz?

Fryderyk chętnie przystał na wszystko.

— A więc dobrze! — odrzekła z uśmiechem. — A teraz stary przyjacielu wróć do mojego dziadunia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ormianie i kościół ormiański.

Wobec faktu, iż oczy Europy zwrócone są dzisiaj na zaciętą walkę, jaka się toczy między Turkami muzułmanami a Ormianami w Małej Azyi, sądzimy, że czytelnicy chętnie przeczytają niniejszą pracę, odsłaniającą nam przeszłość tego interesującego narodu.

Kto to są Ormianie? — Ogólnie zaliczano ich oddawna, jako należących do rasy indo-europejskiej, czyli aryjskiej. Wielu uczonych badaczy twierdziło, że Ormianie porówno z Persami pochodzą od aryjskiego szczepu. Atoli według wszelkiego prawdopodobieństwa Ormianie są mięszaniną rasy żydowskiej z aryjską. Nie nazywają oni sami siebie Ormianami, ani swej ojczyzny Armenią, lecz oznaczają własny naród nazwą Hai, ojczyznę zaś swoją zowią Hajazdanem. Nazwa Armenii jest cudzoziemskiego,

prawdopodobnie żydowskiego pochodzenia.

Posłuchajmy jednak, co słynni ormiańscy historycy Jan VI Katholikos i Mojżesz Khoren mówią o pierwotnych dziejach swego narodu. Podług tych autorów niejaki Haig był założycielem linii Haigianów, która rządziła Armenią aż do czasu Aleksandra Wielkiego, gdy ostatni król Wahe poległ na polu bitwy. Od legendowego władcy Haiga pochodzi nazwa Hajów, jaką Ormianie nadają sami sobie.

Inni znowu twierdzą, że miano Hajów oznaczało tych aryjskich kolonistów, którzy w przedhistorycznej epoce przesiedlili się na równiny Aramskie, leżące na północ od Eufratu, tudzież w okolicy góry Araratu. W klinowych napisach asyryjskich królów, znajdywanych ciągle niemal przez mieszkańców Araratu i Armenii, nazwy Hai nie spotykamy wcale.

Pierwsza wyprawa Asyryjczyków do Armenii, zwanej przez nich krainą Nairy, odbyła się za czasów króla Tukult-Habal-Assara I-go (Tiglath-Pilezera) około roku 1130 przed Chrystusem. Odnośny napis na pałacu tego króla brzmi jak następuje: »Przebyłem niedostępne góry i nieznane krainy, w których nie był jeszcze żaden z moich poprzedników, przeprawiłem się przez najtrudniejsze przejścia i przedarłem w głąb najgęstszych lasów.« Zasługuje także na uwagę, że Tiglath-Pilezer znalazł w krainie Nairy 23 królów, których pobił na głowę i olbrzymie w ich państwie zdobył łupy. Później inni jeszcze assyryjscy monarchowie przedsiębrali wojenne wyprawy do Nairy. Tak naprzykład Assurnassi-rapli (albo Asszur-Nazir-Pal 885—860 przed Chr.), w pewnym napisie, umieszczonym na pomniku pod ogromną lwią głową, która się przechowuje w muzeum Brytańskiem, mówi o sobie co następuje: »Podobnie do Rimmona zalałem swojem wojskiem olbrzymie góry Nairy.«

Salman-assar III (857—822 przed Chr.) spustoszył okropnie całą Armenię, wielki zaś jego wódz Tartan-Dajan zdobył 42 miasta, które były własnością armeńskiego króla Mussasira, tudzież zniszczył ogniem i mieczem całą prowincyę Urartu, czyli Ararat, jako »długi i wąski sztylet, przebijający obłoki.«

Widoczną jest rzeczą, że przed upadkiem Niniwy, który nastąpił w r. 626 przed Chr., Armenia nie nazywała się Hajazdanem, oraz, że nazwa ta znajduje się wyłącznie w historyach Jana VI Katholikosa, oraz Mojżesza. Obaj ci pisarze czerpali materyał historyczny przeważnie z legend, ustnych tradycyi i historyi pisanej przechowywanej, jak głosi ludowe podanie od czasów Herodota. Prawdopodobnie więc spisane przez nich dzieje obfitują w rozmaite baśnie.

Podług powszechnego mniemania Armeńczycy natychmiast po przyjęciu chrześciaństwa zaczęli palić i niszczyć wszystkie, choćby najniewinniejsze pogańskie zabytki i temu właśnie należy przypisać zupełny niemal brak historycznych źródeł, dotyczących przeszłości tego narodu. Niektórzy z nich nawet porównywali legendowego króla Haiga z synem Thorkama (Togorma), o którym nadmienia Pismo święte, że był prawnukiem Jafeta. Armeńczycy więc mianując jego synem pierwszego swego króla, usiłowali w ten sposób przypisać swej narodowości biblijne pochodzenie. Prawdopodobnie jednak armeński Haig nie istniał wcale w rzeczywistości. Istnieje tylko w podaniach historycznych podobnie, jak nasz Lech. Również i nauka, na podstawie której nazwa Armenii pochodzi rzekomo od króla Arama, jest po prostu zwykłem podaniem, świadczącem jedynie o tem, że pomiędzy Ormianami było dużo przypływowych żydów, którzy starali się zrobić z Armenii ojczyznę biblijnego Harama, który był ojczyzną Labana, leżącą na północ od Eufratu.

Nie ulega wątpliwości, że w VII wieku przed narodzeniem Chrystusa, Armeńczycy ulegali władzy rozległego assyryjskiego mocarstwa, po upadku zaś tego ostatniego, Armenia dostała się Persyi. Jan VI Katholikos opowiada nam, że jeden z następców Haiga, imieniem Zamair, stanąwszy na czele ar-

meńskiego wojska, oblegał miasto Troję, następca zaś jego Tigranes zawarł przymierze z medyjskim królem Astyagesem i perskim Khorusem czyli Cyrusem. Cały okres od początku haigijskiej linii panującej aż do wojen greckich w Azyi, zdaje się być bajecznym i niepewnym. Natomiast druga dynastya królewska, tak zwanych Arsacydów istniała rzeczywiście od czasu objęcia przez nią tronu, naród armeński zaczyna coraz ważniejszą odgrywać rolę w polityce starożytnego świata.

Znakomity pewien badacz twierdzi, że Armenia wpadła na czas pewien w ręce syryjskich królów, z których pochodził okrutny Antyoch, wymieniany w Piśmie świętem, poczem została oswobodzoną przez Partów. Arszak wielki, król Partów, mianował następnie królem armeńskim brata swego Wagarszaka (Walarszak), jednocześnie zaś rozciągnął swe panowanie nad Kaukazem i całą nadkaspijską krainą.

Jednym z najdzielniejszych władców Armenii był Tigrones I, który rozciągnął swą władzę nawet na wschodnie posiadłości rzymskie i zdobył całą Syryę. Natomiast syn jego Ardawart nie tylko stracił to, co podbił ojciec, ale sam nawet wpadł w ręce rzymskiego wodza Marka Antoniusza i został ścięty w Aleksandryi z rozkazu królowej Kleopatry.

Za panowania partyjskiej dynastyi Arsacydów Armeńczycy względną przynajmniej cieszyli się swobodą, lecz pod następną dynastyą Sassanidów, utracili całkowicie swoją niepodległość. W roku 442 rząd perski wysłał do Armenii swego pseudomissyonarza Mihr-Nerecha, któremu powierzono skłonić Armeńczyków namową lub przemocą do przyjęcia pogańskiej religii Zoroastra, prześladowania zaś i rozruchy z tego powodu trwały nieprzerwanie aż do wtargnięcia Arabów.

Pod Arabami rządziła Armenią trzecia dynastya, znana pod nazwą Pakradunianów. W roku 743 Arszod, przezwany Bagtradytą, otrzymał od kalifa Ommeiyahsa tytuł armeńskiego patrycyana czyli wielkorządcy, ale dopiero w roku 885 rozpoczęły się istotne rządy dynastyi Pakraduniańskiej, gdyż wówczas właśnie Sempad, pierwszy król z tej rodziny, został ukoronowany przez jednego z kalifów, czyli książąt muzułmańskich.

Rządy Pakradunianów trwały aż do roku 1079. Ostatnie lata jej panowania były bardzo zwichrzone, bo już w roku 1021 na granicach państwa ukazali się Seldżukowie muzułmańscy, którzy zdobyli także Ziemię świętą, i po kilkudziesięcioletniej wojnie zdobyli kraj cały, wypędziwszy ztamtąd Greków, którzy na prośbę Armeńczyków pospieszyli im z pomocą.

W XIII wieku królestwo armeńskie przeszło pod panowanie Mongołów, w XVI zaś dostało się Turkom (1555). Później nieco szach Abbas wcielił do Persyi wschodnią część wielkiej Armenii, to jest Kaukaz i Gruzyę.

W ciągu bieżącego stulecia cała ta wschodnia część Armenii przeszła pod panowanie Rosyi. Obecnie wszyscy Armeńczycy, których ogólna cyfra wynosi co najmniej przeszło 3 miliony osób, wyznają religię chrześciańską i spełniają jej obrzędy pod rządami trzech odrębnych władców, sułtana tureckiego, cesarza rosyjskiego i szacha perskiego.

Przez cały czas swego politycznego istnienia, Armeńczycy wcale nie dali się poznać, jako energiczny i wojowniczy naród.

(Dokończenie nastąpi.)

TERAZ ŻNIWA.

Teraz żniwa, więc kto może
Z sierpem, z kosą w pole spieszy,
Już dojrzało bujne zboże
I kłos każdy człeka cieszy...

To, co siano z wiosny chwilką,
Już wydało plon bogaty!...
Nic nie poszło tu na marne.
Głód nie wejdzie tuż do chaty.

Teraz żniwa, dzwonią sierpy,
Pieśń żniwiarzy brzmi rozgłośnie...
Pracuj, człecze, zbieraj ziarno —
Z każdej siejby owoc rośnie.

Hej! hej! człeku... pomnij o tem,
Że nic w świecie nie przepada,
Każde słowo plon przynosi,
Cnota każda — każda wada.

Z życia twego, jak z tej siejby,
Zbierać plony będzie trzeba...
Kto wie, będą tutaj osty,
Czyli kłosy na kęs chleba?

Któż wie, czyli siejba twoja
Zrodzi plony pożyteczne,
Będąż one ci na chlubę,
Czy na plamy życia wieczne?

Zasiać żyto — żyto zbierzem,
I z pszenicy pszenne kłosy...
Zasiać cnotę — cnota zejdzie,
Takie w życiu zwykłe losy.

Ale z ziarna złej namowy.
Z jadu, gniewu, nienawiści,
Złych podszeptów, pychy, zdrady
Jakież mogą być korzyści?...

Teraz żniwa — z siejby ziarna,
Przyjdzie potem zbiór odmienny...
Obyż w naszej Polskiej ziemi
Był on zawsze czysty, pełny,

Byśmy nigdy nie zebrali
Kłosów z kłótni i niezgody...
Wtedy znikną chmury — grady —
Burze — zimna — i serc lody!

Jak będzie wyglądać na świecie za 100 lat?

Mówimy wszyscy, że wiek nasz dziewiętnasty jest wiekiem wynalazków, czyli innemi słowy, że nie byto jeszcze wieku, w którymby duch ludzki dokonał był dla dobra ludzkości tyle i takiej doniosłości wynalazków. Gdyby w zeszłem stuleciu powiedział Michał do Bartłomieja: »Ty, za kilkadziesiąt lat, jeżeli dożyjesz, będziesz mógł podróżować w wozach, pędzonych nie końmi, lecz parą, lub zajedziesz z Berlina do do Rzymu w przeciągu 48 godzin, lub będziesz jeździł na welycopedach, albo będziesz mógł z przyjacielem porozumiewać się piśmiennie lub ustnie w przeciągu kilku minut albo sekund, natenczas Bartłomiej powiedziałby mu w oczy, gdyby był delikatny: może masz słuszność. Gdyby zaś przyszedł do domu, powiedziałby swej żonie tak: »Kasiu, wiesz co? Szkoda Michała, jest to dobre chłopisko, ale przewróciło mu się w głowie. Pochodzi to widzisz z tego, że wtyka nos w chmury, zamiast go nosić prosto!« Słusznie! nikt bowiem przyszłości odgadnąć nie może, choćby był najbystrzejszym. Jedyny Bóg wie, jak ona wyglądać będzie. Ludzie się mogą domyślać, na podstawie rozmaitych danych przypuszczać, jak dajmy na to wyglądać może za 100 lat na świecie, nikt tego jednak z całą stanowczością twierdzić nie jest w stanie. Właściwością jednak ducha ludzkiego jest zajmować się właśnie najchętniej sprawami przyszłości. Dużo w obecnym czasie wyszło najrozmaitszych dziełek, których autorzy starają się przeniknąć mgłę następnego wieku i przedstawić nam obraz życia naszych wnuków i prawnuków. Na szczególną uwagę zasługuje wierzący chrześcianin protestant, F. Bettex, który tak mniejwięcej kreśli wiek następny:

Nam dzieciom wieku dziewiętnastego zdaje się, że wiek dwudziesty i części tego nie dokona, co jego poprzednik, tymczasem komunikacya światowa dojdzie właśnie w wieku dwudziestym do niesłychanych rozmiarów, których najśmielszy nawet umysł wystawić sobie nie może. Powstaną szerokotorowe koleje elektryczne, na których w miejscu obecnych hałaśliwych, dymiących się i zakopconych pociągów poruszać się będą pojedyńcze wozy, podobne do pałaców, które odchodzić będą co dziesięć minut bez najmniejszego szelestu, przytem nie będzie się wcale czuło, że się siedzi na poruszającym się przedmiocie.



Wąż Anakonda rzucający się na morską świnkę. (Obacz objaśnienia rycin na str. 256.)

Wozy te przebiegać będą na godzinę 150—200 kilometrów, czyli 20—30 mil dzisiajszych. Będą tak szerokie, że wykolejenie się będzie niemożliwe, a za markę będzie można objechać całe Niemcy. Oj, szczęśliwi ci nasi potomkowie!

Pewnie i wojska wtedy nie będzie, bo z czegoby płynęły dochody, jeśli podróże będą tak tanie? Nam się zdaje, że w dzisiejszych wozach kolejowych jedziemy wygodnie. Tymczasem potomkowie nasi dziwić się będą w przyszłości, gdy usłyszą lub czytać będą, że ojcowie ich jeździli w tak ciasnych komórkach. Przyszłe koleje obejmować będą szerokość 10 metrów. Zbudowane będą na kilku szynach, które wykolejenie uniemożliwią. Szybkość ich będzie wprost bajeczną. Urządzone w nich będą hotele z wszelkim przepychem, a w tyle przytwierdzone będą wspaniałe domy przyszłości. Taki dom, który będzie można przenosić z miejsca na miejsce, wykonany będzie z bronzy aluminium lub x-ium (metal przyszłości, który sobie uczeni wyobrażają w głowach, nie wiedząc jeszcze, jak on będzie wyglądał.) Wewnątrz będzie urządzenie elektryczne dla oświetlania i opalania, również i rury dla chłodzenia pomieszkania w czasie upałów. Dach będzie miał formę terasy, a naokół niego będzie śliczny ogródek z cienistą rozkoszną altaną. Tak oto wyglądać będzie dom, który bogatszy człowiek będzie mógł zabierać ze sobą w podróż choćby do Afryki i tam w nim mieszkać. Toć to wtedy żyć a nie umierać. Człowiek wcale nie wiedząc, że podróżuje, będzie miał przed sobą przesuwające się najcudniejsze krajobrazy. Pociągi towarowe zawierać będą zbiorniki dla towarów objętości dzisiajszego domu, mogące pomieścić w sobie tysiąc kubicznych metrów. Handel światowy ogromnie na tem zyska i gdy koszta przewozowe z powodu łatwości i szybkości stanieją, to i artykuły wszelkie będą tańszemi. Również i komunikacya wodna dozna wstrząsających zmian. Powstaną drogi wodne pomiędzy wszystkiemi pięciu częściami świata. Co pięćdziesiąt mil przytwierdzona będzie na morzu latarnia morska o białem i czerwonem świetle, która wskazywać będzie kierownikom drogi. Drobniejsze okręta zatrzymywać się będą na tak zwanych chodnikach wodnych, które będą jedynym środkiem dla uniknięcia zderzeń okrętowych. W tem to miejscu znajdować się będą także magazyny rezerwowe, biura informacyjne i stacye ratunkowe.

Przy tak olbrzymiej a łatwej komunikacyi na wszystkie krańce świata cywilizacya a z nią zbliżenie się ludów do siebie postąpi olbrzymio naprzód. Ludy poczną się bratać ze sobą, i być może, że chociaż sobie nie zaprzysięgną wieczystego pokoju, to jednakowoż zawrą ze sobą przymierze choćby na dłuższy, ale pewny przeciąg czasu, naprzykład na pięćdziesiąt lat. Miliony młodych rąk, które obecnie niemiłosierny militaryzm zabiera dla siebie, mogłoby się z korzyścią oddawać uprawie roli, chodowli bydła i rybołóstwu. Te trzy rzeczy to najgłówniejszy przemysł. Nikt bowiem żyć nie może węglem, stalą lub szkłem, ale zbożem, mięsem, mlekiem, warzywem i t. d. Te to miliony rąk, wolnych od wojskowości możnaby zużyć nadzwyczaj korzystnie dla ludzkości. Możnaby kazać osuszyć całą dzisiajszą Mezopotamią, takową następnie kanalizować, w końcu pobudować na niej kilkanaście wielkich miast i uczynić z tego kraju to, czem był dawniej, to jest spiżarnią i ogród świata. Do tego kraju możnaby sprowadzić następnie owe setki tysięcy bezczynnych członków społeczeństwa, które mu wielkich korzyści nie przynoszą. Krajów bowiem nie przybywa, ale za to ludności przybywa i przybywać będzie coraz więcej. Przeludnienie musi powoli nastąpić i trzeba będzie szukać prędzej czy później miejsca dla ludności. A miejsca, gdzieby ludzie mieszkać mogli, tyle na świecie, że jak obliczono, czterdzieści razy więcej ludności mogłoby żyć na nim co dziś. Ludzkość musi jednak starać się zużytkować należycie każdy kawał ziemi, który dziś

leży odłogiem. Po Mezopotamii więc możnaby się zabrać do odbudowania Kartaginy, tego przed Chrystusem tak potężnego państwa, które Rzymowi zagrażało, a które rozciągało się wtedy po całej północnej Afryce. I tu miliony ludności mogłyby osieść. Dalej możnaby się zabrać do zawodnienia pustyni Sahary za pomocą studni artezyjskich i do zasadzenia daktyl. Francuzi już tam zrobili początek, zakładając pięćset studni i pół miliona palm daktylowych. Miech daktyl powinienby być tańszym jeszcze od miecha perek. W końcu należałoby wykarczować olbrzymie lasy amerykańskie pomiędzy rzekami Orinocco a Amazonką, pozakładać tam następnie kanały i koleje i uprawiać rolą za pomocą elektrycznych maszyn. Gdy to się zrobi, natenczas nie potrzeba się obawiać przeludnienia przez setki lat następnych. Ku ozdobie świata i pożytkowi ludzkości możnaby jeszcze pozasadzać tysiące milionów drzew owocowych najrozmaitszego gatunku po wyspach i gajach, stepach i u podnóży gór.

Następnie należałoby tak części świata jak i rozmaite kraje połączyć ze sobą kanałami. Przedewszystkiem kanał panamski powinien być przekopany, gdyż tam byłby ów punkt środkowy dla wszelkich produktów dla czterech części świata, Ameryki Południowej i Północnej z jednej, a Azyi i Europy z drugiej strony. Dalsze kanały powinny powstać pomiędzy Bordeaux (Bordo) i Marsylią we Francyi, Tryestem w Austryi i Wenecyą a Genuą we Włoszech, dalej powinien się ciągnąć kanał pomiędzy morzem bałtyckiem a Czarnem, pomiędzy morzem Czarnem a Kaspijskiem. Po kanałach należałoby postawić rozmaite olbrzymie, wspaniałe mosty z x-ium i tak na kanale pomiędzy Anglią a Francyą. Co dziesięć tysięcy metrów powinien się tworzyć łuk z 500 stóp wysokimi słupami, a więc mniej więcej takiej wysokości, jak wieże tumu kolońskiego. Drugi most powinien być zbudowany pomiędzy Włochami a Sycylią, trzeci przez Dardanele pod Konstantynopolem, któryby łączył Europę z Azyą, czwarty z Indyi na wyspę Ceylon, piąty z Gibraltaru do Marocco. (Dokończenie nastąpi.)

Dzieciobójstwo w Chinach.

Oddawna już niezliczone sprawozdania katolickich misyonarzy, stwierdziły, że dzieciobójstwo w Chinach jest faktem, nie podlegającym najmniejszej wątpliwości. Pojedyńcze opisy tego okrucieństwa, skreślone przez apostolskich pracowników, obudziły najgorętsze współczucie całego katolickiego świata, a zwłaszcza dzieci, które zjednoczywszy się w Stowarzyszenie św. Dziecięctwa, połączyły swe usiłowania w celu ocalenia nieszczęsnych pogańskich braciszków i siostrzyczek. Znalazło się w ostatnich czasach kilku uczonych, którzy wbrew twierdzeniom misyonarzy zaprzeczali temu, jakoby w Chinach panował zwyczaj mordowania dzieci. Zadawali więc kłam misyonarzom, w tym jedynie celu, ażeby szkodzić powadze Kościoła katolickiego. Na dowód, że dzieciobójstwo w Chinach jest na porządku dziennym, przytaczamy następujące szczegóły:

»Co się tyczy dzieciobójstwa, pisze pewien duchowny badacz, ks. prałat Harlez, to decydujący głos w tej mierze pozostawmy samym Chińczykom, którzy wielu cennych dostarczą nam świadectw. W obecnej chwili mamy przed sobą cały szereg dokumentów, których wiarogodność i prawdziwość najmniejszej nie podlega wątpliwości. Są to orędzia cesarzy chińskich i ich prefektów, wyciągi z książek rozmaitych, rozpowszechnionych w całych Chinach, oraz chińskie gazety i ryciny wydawane w celu wykorzenienia barbarzyńskiego tego zwyczaju z łona chińskiej ludności za pomocą gróźb, rad i obietnic...«

Naturalnie nie wiele możemy tu przytoczyć z tak olbrzymiego materyału, ale ta drobniutka nawet cząstka pozwoli



Straszliwy nieprzyjaciel. (Obacz objaśnienia rycin na str. 256).

nam osięgnąć całkowicie cel, jakiśmy sobie wytknęli.

1) Przedewszystkiem nasuwa się pytanie, jak wielcy mędrcy chińscy i religijni filozofowie na dzieciobójstwo się zapatrują. Należy przyznać, że wszyscy jednogłośnie potępiają barbarzyński ten zwyczaj, dokładając zarazem wszelkich usiłowań w celu obudzenia doń wstrętu

w sercach swoich rodaków. — Weźmy naprzykład do ręki księgę, napisaną przez kilku uczonych chińskich. Nosi ona szumny, prawdziwie chiński tytuł: Ganszils-tan-czukia, to jest »Komentarz o świetle w domu ciemności« co ma oznaczać »Zasady wiedzy.«

»Okrutni ludzie! woła autor do wyrodnych rodziców, którzy bez litości słuchacie kwilenia biednych swoich dzieci, przeczuwających smutny los, jaki niebawem je spotka. Czyż nie zadrży wam serce w chwili, kiedy je utopicie w naczyniu, napełnionem wodą?... O nieba! O ludzie!... Niebo chce życia niewinnych tych istot, ludzie zaś pragną ich śmierci. Każdy jednak, kto zabijając człowieka, przekracza wolę niebios, sam zasługuje na śmierć. Nieprzyjaciele nawet nie mogą mordować się nawzajem, bez ściągnięcia na siebie zemsty ze strony duchów. Rodzina, która nie chcąc wychowywać swych córek, bezlitośnie je zabija, powinna zniknąć z powierzchni ziemi, powiada przysłowie. Gdyby na całym świecie istniał ten okropny zwyczaj, to niebawem zupełnie zabrakłoby dziewcząt, a wówczas kogóż mężczyźni braliby za żony? W taki sposób cała ludzkość skazanąby została na zagładę. Jeżeli ani tygrys, ani wilk nie wyrządza swym małym nic złego, to czyż jeden tylko człowiek może nie znać uczucia litości dla własnych swych dzieci? Czyż może on stać niżej od najdzikszych zwierząt, nie mordujących nigdy własnego potomstwa?«

Po wielu podobnych uwagach, autor pragnąc wywrzeć głębsze jeszcze wrażenie na umysły czytelników, wprowadza na scenę bożka Wen-czang-te-Kiun'a, który opowiada, że widział w piekle niezliczone gromady istot, strąconych tam na zawsze za to, iż pozwoliły na zamordowanie swych córek, a nawet topiły je same. Wszystkie powyższe ustępy każą się domyślać, że chodzi tu o występek głęboko zakorzeniony wśród ludności, przeciw któremu każdy rozsądny człowiek z całą stanowczością występuje. Zresztą nawet w najbardziej popularnych dziełach, jak naprzykład książkach szkólnych, znajdujemy podobne przestrogi w najrozmaitszy wypowiadane sposób.

Oto, co głosi w tej mierze księga Hio-tang-kiang-Ju czyli nauka moralności dla szkólnego użytku: »Czy kobieta zasługuje na pogardę i czyż wasze matki nie są także kobietami?... Jeżeli mówisz, że jesteś tak ubogi, iż nie możesz wychowywać swych dzieci, pomimo tego wiedz, że każde z nich ma prawo do pewnej cząstki twego mienia, wystarczającej na jego utrzymanie«... Dalej zaś czytamy tam znowu: »Każda kobieta, która utopi dziewczynkę, wywołuje przez to śmierć jednego chłopczyka, jeżeli więc zamorduje dwie córki, to później za karę straci dwóch synów. Mężczyzna zaś, który nie będzie starał się przeszkodzić okrucieństwu niegodziwej żony, umrze o dziesięć lat pierwej, niż mu pierwotnie było przeznaczone. Tażsama kara spadnie również na sąsiadów, którzy nie będą się starali zapobiedz spełnieniu tej zbrodni.«

W innej księdze, noszącej tytuł Kiotang-jih-kai, to jest codzienne czytanie dla szkół, mieszczą się przerażające lub humorystyczne przykłady i opowiadania, których celem jest również zniechęcenie przyszłych ojców i matek rodzin do dzieciobójstwa. Między innemi znajdujemy tam o pewnym ubogim literacie, imieniem Czen-Czas-Kiang, który pomimo niejednokrotnych usiłowań, nie mógł nigdy zdać pomyślnie państwowego egzaminu. Stroskany literat zwrócił się wreszcie do »nieśmiertelnych«, prosząc ich o radę i pomoc, ale usłyszał następującą odpowiedź: »W kraju tym istnieje zwyczaj topienia dziewcząt. Staraj się więc odwieść swoich rodaków słowem i pismem od okropnego tego występku, a wówczas z pewnością zdasz dobrze egzamina.« Rzeczywiście Czen-Czas-Kiang zabrał się gorliwie do powierzonej sobie pracy i po upływie trzech lat dostąpił najwyższego zaszczytu, jaki może spotkać literata, to jest został przyjęty na członka akademii.

Zasługuje też na uwagę, że takie piętnowanie występku, hańbiącego cały

naród, znajduje się w większej części dzieł chińskich pisarzy, tak dalece, że jak głosi ks. prałat Harlez, samemi tylko ustępami, dotyczącemi dzieciobójstwa, a zaczerpniętemi z utworów chińskiego piśmiennictwa, możnaby zapełnić całe tomy. Musimy jednak poprzestać na przytoczeniu nielicznych ustępów z najnowszych książek, wydanych w najrozmaitszych zakątkach Chin i stanowiących wymowny dowód wiarogodności opisów, kreślonych w tej mierze przez misyonarzy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NIE MOGLI ICH ROZŁĄCZYĆ.

(Ciąg dalszy.)

W myśli powracał już do swej wioski rodzinnej, szedł do rodziców Adelajdy z prośbą o jej rękę, a gdy się wita ze znajomymi z lat dziecinnych, oni szepcą między sobą: Dzisiaj on króluje między nami, ten biedny Nello, żyjący niegdyś z tego, co mu pies zarobił! Wymaluje wówczas dziadka w wieńcach laurowych i w blasku słonecznym, jak starca w Świętej Rodzinie, znajdującej się w kaplicy Św. Jakóba, a przy nim umieści Patrascha w złotej obróżce. Obraz zatytułowany będzie: »Moi pierwsi i jedyni przyjaciele«. Będzie miał pałac z białego marmuru i ogrody rozkoszne, a wszystko to otworzy dla biednych i dla tych, którzy posiadają w sobie poczucie piękna. Będzie uczył malarstwa wszystkie sieroty, w których dojrzy iskrę talentu. A kiedy imię jego błogosławić będą, on powie z pokorą: Nie mnie błogosławcie, lecz Rubensa — bez niego byłbym niczem!

III.

— Czy to dzisiaj imieniny Adelajdy? — zapytał stary Daas chłopca.

Wnuczek skinął potwierdzająco głową.

— Dlaczego tam nie idziesz?

— Jesteś słaby, kochany dziadku; nie chciałem cię samego zostawić — odpowiedział, całując staruszka.

— Ho, ho, matka Walentyna byłaby do mnie przyszła. Jest w tem coś innego Nello; czy się przypadkiem nie pogniewałeś z małą?...

— Nie, dziaduniu, nie! — zawołał Nello. — Wprawdzie pan Cogez mnie nie zaprosił, zmienił się dla mnie jakoś od pewnego czasu.

— Ale ty nie dałeś do tego powodu?

— Zdaje mi się, że nie. Narysowałem portret Adelajdy, Cogez dowiedział się o tem i wziął go sobie — oto i wszystko.

Stary Daas otarł łzę ukradkiem, bo jakkolwiek leżał od paru miesięcy bezwładny, nie miał jeszcze umysłu zupełnie zniedołężniałego. Tulił do piersi głowę wnuka, mówiąc głosem bardziej niż zwykle drżącym:

— Moje ty biedne, bardzo biedne dziecko, jakże ci będzie ciężko na świecie.

— Nie jestem biedny! — odpowiedział głośno chłopak, bo czuł w sobie jakąś potęgę trwałą.

Wyszedł i stanął przed drzwiami lepianki. Patrzył na gromadzące się gwiazdy, na ogromne topole, na okna domu młynarza bogato oświecone, wsłuchiwał się w dźwięki fletu, dolatujące przez błonia aż do jego duszy. Łzy płynęły po twarzy dziecka odepchniętego od jedynego ogniska, jakie mogło ogrzać przeziębłe i zbiedzone ciało. Uśmiechnął się jednak zaraz, powtarzając półgłosem:

— Później.

Noc zapadła, Nello położył się obok psa w budzie przybudowanej do chaty. Ta buda była mu drogą, w niej mieściła się tajemnica wiadoma tylko Patraschowi; — pies tylko jedynie mógł widzieć to coś, przypominające stalugi, na których była rozpięta szara tektura. Na niej jedna z fantastycznych postaci Nella przybrała kształty ludzkie.

Nie uczył go nikt nigdy, nie miał możności kupienia farb, a wiele razy odmówił sobie chleba, ażeby zaopatrzyć się w najpotrzebniejsze przybory malarskie. Rysunek na stalugach przedstawiał starca siedzącego pod złamanem drzewem. Nello spotykał często w takiej pozycyi drwala Michała, i chociaż nie miał najmniejszego wyobrażenia o perspektywie, anatomii, świetle i cieniu, oddał jednakże z zadziwiającą prawdą powagę starości w całej postawie, smutek i cierpliwość na twarzy swego bohatera. Był to szkic rzucony na papier bez żadnych afektacyi, znawca dopatrzyłby w nim błędów, lecz dla poety obrazek stanowiłby tło do poematu. Dziecko rzuciło się do dzieła śmiało, z nadzieją zawodną może lecz wielką. Obraz swój miał umieścić na wykazie jako pracę konkursową. Nagroda za najlepsze dzieło wynosiła dwieście franków; konkurs był wyłącznie dla młodzieży do lat ośmnastu. Zdanie trzech znakomitych artystów w Antwerpii rozstrzygało prawo pierwszeństwa. Całą wiosnę, lato i jesień zbierał Nello skarby dające mu możność stanąć u drzwi świątyni artyzmu, którą czcił w cichości. Nikt o tem nie wiedział, bo dziadek nie zrozumiałby go, a Adelajda straconą była dla niego; pies jedynie słuchał uważnie, gdy mu Nello przyszłe opowiadał nadzieje.

— Gdyby Rubens żył — mawiał czasami — i wiedział wszystko, dałby mi pierwszeństwo!

Rysunki miały być złożone w pierwszych dniach Grudnia, a nagroda wręczona 24-go tegoż miesiąca. Nello pewnego zimowego poranku umieścił swój rysunek na wózku i wiózł go do miasta z sercem napełnionem to nadzieją, to trwogą. U drzwi Towarzystwa sztuk pięknych zostawił swój skarb jedyny.

— Może on nic nie wart? — albo ja wiem? — myślał patrząc na obraz.

Odjeżdżając nazwał się szaleńcem; on w łachmanach, on znający zaledwie litery, nie mający żadnych środków do pracy staje w liczbie pretendentów do nagrody!

Takiemi myślami zajęty przejeżdżał obok katedry; zdawało mu się, że cień Rubensa wychodzi z poza drzwi portyku, że go błogosławi i woła: Odwagi, odwagi! — nie z trwogą i niepewnością zapisywałem nad twą kolebką me imię, gdyś ujrzał światło w murach mojego miasta, w murach Antwerpii.

Nello zadrżał; lecz wkrótce oprzytomniał i wszedł do kościoła. Tam zrobił wszystko co mógł najlepszego, bo złożył dalsze swe losy w ręce Opatrzności.

Tej samej nocy spadły ogromne śniegi i zasypały wszystkie drogi, a mróz ściął rzeki. Przewozić mleko w taki czas byłby to trud daremny, szczególniej dla Patrascha; czas wzmacniający Nella, osłabił siły psa, chociaż ten nie pozwolił jeszcze wyręczać się swemu panu.

Pewnego wieczoru, Nello wracając z Antwerpii znalazł na śniegu lalkę, wystrojoną w złoto i szkarłatne suknie. Lalka weselszą była zapewne od właścicielki, która ją zgubiła, bo się śmiała wybornie; — z tym śmiechem było jej bardzo do twarzy. Nello nie mogąc znaleźć właścicielki, umyślił darować lalkę Adelajdzie. Noc już zapadła, gdy przechodził obok domu młynarza; znając dobrze okno pokoiku dziewczęcia, podszedł tam ostróżnie i zapukał lekko w okiennicę, poza którą migotało światło. Okiennica się otworzyła, a Nello kładąc lalkę w rękę Adelajdy powiedział:

— Znalazłem ją w śniegu, weź i bądź zdrowa.

Oddalił się tak prędko, że dziewczyna nie zdołała mu nawet podziękować.

Nieszczęście chciało, że ogień wybuchnął tej samej nocy w domu młynarza. Cogez nie bardzo był pokrzywdzony, bo miał budowle zabezpieczone, lecz ten wypadek zrodził przypuszczenie, że ogień nie był wcale wypadkowy. Młynarz odepchnął nawet Nella, który przebudziwszy się na odgłos dzwonka kościelnego, przybiegł na ratunek z innymi.

— Czołgałeś się tutaj o zmroku — przemówił młynarz szorstko do chłopca

— przysiągłbym, że to ty jesteś sprawcą pożaru!

Nello spojrzał na młynarza uśmiechnięty, biorąc jego słowo za żart; zdziwił się tylko, jak można żartować w podobny sposób. Ale młynarz powtarzał tak często i głośno swoje posądzenie, że wkrótce opowiadano sobie w całem zgromadzeniu, jak Nello podkradał się wczoraj z ogniem do młyna i jak potem uciekał przez wieś.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Wąż Anakonda, jest największy ze wszystkich olbrzymich węży i dochodzi do 10 metrów długości. Jest on z wierzchu ciemny, czarnooliwkowej barwy, z dwoma rzędami okrągławych, czarnych plam. Spód jest blado-żółty, z czarniawemi plamami. Szczególnie lubi wodę, z upodobaniem wyciąga się na poziomej gałęzi drzewa, wystającego nad wodą, albo szuka łupu w wodzie. Ryby, ptactwo wodne, płazy, zwierzęta ssące, zwłaszcza gryzonie, idące do wody dla napicia się, stanowią zwykłe jego pożywienie. Gdy Anakonda czatuje na zdobycz, wówczas obwija się koło drzewa, trzyma się pnia w górze ogonem a głowę spuszcza na dół i rzuca się z szybkością strzały na upatrzoną ofiarę. Pewien podróżnik, przebywający przez dłuższy czas na wyspie Cejlon, wybrał się z kilku angielskimi oficerami na polowanie. Naraz ujrzeli ogromnego Anakondę, chwytającego paszczą tygrysa poza łopatkami; wściekły zwierz ryknął straszliwie, wywijał się jak kot i usiłował ugryźć węża, lecz nie mógł go nigdzie dosięgnąć. Wąż opasał go kilkakrotnie swymi zwojami i wzniósł do góry, podczas gdy tygrys czynił rozpaczliwe wysilenia, aby się od swego wroga oswobodzić, ale napróżno; wąż spuścił go znowu na ziemię i tak go silnie opasał, że zwierz bezsilnie upadł, zaledwie dysząc. Wtedy wąż puścił grzbiet tygrysa, a pochwycił rozwartą paszczą za głowę zwierza, kalecząc ją okropnie i obejmując ją szczękami, tak, że jej wcale widać nie było. Przerażającym był głuchy ryk tygrysa, wychodzący z paszczy węża. Lecz twarde życie zwierza nie zagasło tak rychło; ciągle robił nowe, chociaż bezowocne wysiłki, aby się wyswobodzić z paszczy potwora i uwolnić z krępujących go zwojów, lecz wąż przyciskał go wciąż ku ziemi. W ciągu tej długotrwałej walki świadkowie jej dostrzegli, że wąż kilkakrotnie usiłował zdusić tygrysa w swych zwojach, co widocznem było po stękaniu zwierza. To mu się jednak nie udało; wąż był zmuszony ograniczyć się na ściskaniu coraz mocniej w swej paszczy głowy tygrysa, dopóki ten nie wyda ostatniego tchnienia, co też wreszcie nastąpiło po ostatecznych rozpaczliwych wysileniach, zmierzających do oswobodzenia się z więzów. Skoro już tygrys legł bez życia, wąż rozwinął swe skręty, opasał zdobycz swoją ogonem, przednią część ciała okręcił koło drzewa i przyciągnął do niego cielsko tygrysa. Skoro je wygodnie już ułożył, wówczas opasał zwojami swymi drzewo razem z tygrysem, przesuwając się kilkakrotnie pod jego ciałem, dopóki nie podniósł go do góry i nie przycisnął do pnia drzewa. Wtedy dopiero nagłym, potężnym ruchem ścisnął swe zwoje, a żebra i kości jego ofiary zaczęły się z trzaskiem kruszyć. Cielsko tygrysa opadło na ziemię jak bezkształtna bryła, a wąż rozpoczął swą okropną ucztę, której oficerowie chcieli być świadkami, chociaż poprzedzająca ją walka trwała zbyt długo. Wąż ułożył cielsko tygrysa wpodłuż, oblał je swą śliną, szeroko otworzywszy paszczę, podsunął dolną szczękę pod głowę tygrysa i zaczął połykać zwolna swą ofiarę, cal za calem, przyczem oficerowie zauważyli, że szyja i całe ciało węża, tak były rozciągliwe, iż mogłyby zmieścić w sobie jeszcze większe od tygrysa zwierzę. Rzuca się ten potwór nawet na lwy i bawoły i odbiera im życie. Gdy zaś się nasyci, nie zdolen się ruszać i można z nim robić, co się komu podoba.

Straszliwy nieprzyjaciel. Człowiek dorosły wie bardzo dobrze, które stworzenia są szkodliwe, zdradliwe, niebezpieczne dla niego. Uczył się tego w szkole i w życiu codziennem. Ale i małoletnie dzieci wiedzą nieraz, które stworzenie mu sprzyja, a które nie ma względu na jego niemowlęce lata. Nieraz starszy człowiek przeraża się, gdy widzi dziecko, igrające z potężnym brytanem. Zdaje mu się, że brytan podrażniony lada chwili rzuci się na dziecko. Tymczasem pies jak baranek potulny pozwala dziecku na wszystko, bo wie, że ono mu krzywdy nie wyrządzi. Starszemu by to z jego strony z pewnością nie uszło bezkarnie. Przypatrzmy się obrazkowi (na str. 252). Dziecko jasnowłose, dobrze rozwinięte, trzyma w ręce bułkę czy coś innego. Nagle spostrzega siadającą mu na fartuszku osę. Widać z wyrazu twarzy jego, że płacze rzewliwie, chcąc w ten sposób sprowadzić kogokolwiek, którýby je uwolnił od niebezpiecznego gościa. Scena cała miłe sprawi z pewnością wrażenie na czytelniku.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Jak obchodzą niedziele i święta
w posiadłościach tureckich?

Turcya złożona jest z rozmaitych ludów, które też rozmaite wyznawają religie i rozmaite obchodzą święta i niedziele. Turcy w miejsce niedziel święcą piątki, żydzi sobotę. Najbardziej pod względem ścisłości zachowywania niedziel odznaczają się żydzi. Obchodzą oni surowo swój szabat, zwłaszcza tam, gdzie ich jest mało i gdzie Turcy mogliby ich poturbować, gdyby świąt nie święcili. I w tym razie więc są żydzi mądrymi i przebiegłymi. Choć może chętnie kupczyliby w tym dniu, wolą uczynić ze siebie ofiarę, jak stracić jeszcze więcej i narazić się na prześladowanie. Mahometanie nie mają właściwie wcale urzędowych świąt. W piątki świętują jedynie władze i zapełniają meczety, (świątynie mahometańskie), publiczności tureckiej w nich bardzo mało. Składy i warsztaty pootwierane, po budowlach i miejscach publicznych pracują wszyscy, aż miło. Dwa święta prawdziwie uroczyste znają Turcy i to święto Ramadana i Bajrama. Ale i te święta nie są urzędowe. Kto więc chce, ten może pracować i podczas nich. Wyszczególniają się z pomiędzy innych świąt jedynie hukiem armat ze strony władz i wielką wojskową paradą. Z tego można wywnioskować, że święta tureckie święcą się mniej dla uświęcenia religii jako wyznania państwowego, ile dla sprawienia ludowi przyjemności i obudzania w nim miłości do ojczyzny swej.

Chrześcianie święcą niedziele i święta, ale rozmaici z nich rozmaicie. Najostrzej niedziel i świąt przestrzegają protestanci, szczególniej Anglicy, którzy są wyznania anglikańskiego, najobojętniejszymi w tym względzie są schizmatycy, to jest ci, którzy w patryarsze konstantynopolitańskim upatrują swą Głowę najwyższą. Katolików możnaby pomieścić pomiędzy jednymi a drugimi.

Katolicy i anglikanie zamykają w niedzielę swe składy i warsztaty i idą do kościoła. Mało jest takich, którzy tego zwyczaju nie przestrzegają. Schizmatycy mają składy i warsztaty pootwierane, pracują na budowlach i miejscach publicznych, prowadzą handel zbożem, który znajduje się po większej części w rękach Greków, słowem, wygląda u nich, jak gdyby niedzieli i świąt nie znali. Schizmatycki pracodawca zatrudnia nawet muzułmańskich pracowników swych, chociaż ci wcaleby nie sarkali, gdyby mieli niedzielę wolną. Nawet Turcy sami mogliby być wzorem dla schizmatyków, gdyż tam, gdzie jest dużo chrześcian, zamykają przez wzgląd na nich swe składy i warsztaty w niedziele po południu i robią wycieczki.

Najgorzej z obchodzeniem niedziel do niedawnego czasu było po miastach portowych. Nie było niedzieli, w którejby nie nadchodziły tam okręty, którychby oczywiście zaraz nie wyładowywano. Nastąpiło w tym względzie także już polepszenie, a nawet i rząd zwalnia swych urzędników od pracy w niedzielę, tak że takowi świętują w tygodniu dwa dni zatem, w piątki i niedziele.

Przed pięćdziesięciu laty jeszcze nie posiadały kościoły chrześciańskie w posiadłościach tureckich dzwonów kościelnych i do dziś dnia zwoływani bywają pobożni na modlitwy. Obecnie ma się sprawa nieco inaczej. Niema prawie kościoła, któryby nie posiadał dzwonu. Niektóre kościoły, zwłaszcza w Ziemi świętej posiadają nawet po kilka dzwonów, jak w Nazarecie, Jaffie, Betleemie, i Jerozolimie. Jak w Jerozolimie zaczną dzwonić w rozmaitych kościołów, to głosu zwoływacza na modlitwę wcale słyszeć nie można. Takiego dzwonienia, jak w Jerozolimie, niema może w całym kraju tureckim. Które miasto mogłoby też iść w zawody z Jerozolimą? Wszędzie są wspaniałe, obszerne kościoły. Mimo, że protestanci i schizmatycy mają środki po temu, nie mają oni w większych szczególnie miastach tak wspaniałych świątyń, co katolicy. Znowu jeden przykład więcej, że katolicy są pobożniejszymi od innowierców, gdyż jedynie duch pobożności skory jest do ofiarności.

Dawniej można było niejedno zarzucić pod względem zachowywania się wiernych podczas nabożeństw, zwłaszcza płacz dzieci pobieranych do kościoła był często nieznośnym. Dziś wszystko się zmieniło na lepsze. Księża nie znoszą więcej w kościołach płaczu dzieci.

I sposób odprawiania nabożeństw jest nadzwyczaj budujący. Nastrój ducha jest tem podnioślejszy, ponieważ niebrak okazałości i przy zewnętrznych formach nabożeństwa. Ołtarze, kazalnice, jak w ogóle wnętrze całego kościoła, są bogato i gustownie budowane, przybory kościelne, figury, obrazy wszystko bar-

dzo cenne, a świec, lamp i świeczników bez liczby. Wspaniały zwłaszcza jest widok przy wystawieniu Najśw. Sakramentu. Także i co do śpiewu i muzyki kościelnej czynią zarządy kościelne bardzo wiele, nawet za wiele niekiedy.

Procesye z powodu rozmaitych trudności rzadko się odbywają. Wyszczególnić należy pod tym względem procesyą w czasie drogi Krzyżowej, odprawianej przez katolików i procesyą w czasie Wniebowzięcia Panny Maryi, odprawianej przez schizmatyków. Konsulaty, śpitale, klasztory i inne zakłady misyjne wywieszają w niedziele i święta chorągiew.

Tak oto wygląda na Wschodzie z obchodzeniem zewnętrznem świąt i niedziel.

O Rotszyldach.

Dawniej mówiono o bogaczach »to krezus prawdziwy«, dziś mówią po największej części »to Rotszyld«.

Olbrzymia więc fortuna tych pierwszych dzisiaj bogaczy świata weszła w przysłowie. Opowiemy krótko, w jaki to sposób Rotszyldowie do tych olbrzymich bogactw przyszli.

W Frankfurcie nad Menem kupczył w początkach zeszłego wieku niejaki Mojżesz Amschel starożytnościami, szczególnie starożytnemi monetami. Syn jego Meyer Amschel, urodzony w roku 1743 miał z początku pozostać rabinem. Ale Meyerek miał powołanie do handelku, więc zamiast rabinem został handlarzem starych monet i medali. Powoli taką był powagą w swym zawodzie, że uzyskał miejsce w banku pewnym w Hanowerze. Tam oszczędzał, jak mógł a obok tego nie przestał handlować metalem. Gdy się małego dorobił majątku, powrócił do Frankfurtu, zakupił domek, gdzie się urodził i nazwał się Rotszyldem, od czerwonego godła, które wisiało nad handlem jego.

Ten oto Meyer Rotszyld położył podwaliny do dzisiejszego bogactwa Rotszyldów. Ożenił się z Gudulą Schnappe, która go obdarzyła pięciu synami, a umarła w roku 1849, licząc 96 lat. Do ostatniej chwili nie opuściła ubogiego domku w Frankfurcie, szanując go jako kolebkę, która potomków jej uczyniła potężną i sławną. Meyer uchodził wszędy za żyda prawdziwie uczciwego. To też książę heski powierzył mu swą gotówkę, wynoszącą 15 milionów franków, gdy przed wojskami francuzkiemi uchodzić musiał do Anglii. Procenta od tych pieniędzy pozwolił mu zatrzymywać dla siebie. Po ośmiu latach powrócił książę i ku wielkiej swej radości skarb, Rotszyldowi powierzony, otrzymał z powrotem. Był tu i wilk syty i koza cała. Książę otrzymał 15 milionów z powrotem, ale Rotszyld jako bankier musiał z pewnością zarobić na tych 15 milionach też z kilka milionów. Te to zarobione miliony stały się podwaliną przyszłej potęgi Rotszyldów. Meyer umarł w roku 1812. Przed swą śmiercią przywołał do siebie wszystkich pięciu synów i tak do nich powiedział:

»Pozostańcie zawsze wiernymi przykazaniom Mojżesza; — pracujcie zawsze wspólnie; — nic nie czyńcie bez rady matki waszej; gdy zachowacie te trzy rady, które wam daję, będziecie najbogatszymi z bogatych i świat będzie do was należał«. Słowa te się sprawdziły, bo Rotszyldzi wskutek swego majątku trzęsą dziś całym światem.

Po śmierci ojca rozeszli się synowie po całym świecie, ale wspólnie pracowali. Jeden poszedł do Wiednia, drugi do Londynu, trzeci do Paryża, czwarty do Neapolu, piąty zaś, najstarszy z nich, pozostał we Frankfurcie.

Najzdolniejszym z nich był ten, który osiadł w Londynie. Z początku pogardzali bankierzy londyńscy nowicyuszem, ale w krótkim czasie nauczyli się go uwielbiać, gdyż w przeciągu pięciu lat obrócił Rotszyld swym kapitałem 2500 razy. Urządził on osobnych kuryerów, wydawał niezmierne kapitały na gołębie pocztowe i tysiące innych wynajdywał środków, ażeby na nich korzystać.

Europa w tym właśnie czasie poczęła przybierać inną postać. Wojska sprzymierzonych ze sobą państw biły Napoleona na każdym kroku. W końcu przyszło do tego, że Napoleona wywieziono na wyspę Elbę. Kto zaś najwięcej się przyczynił do jego pobicia? Oto Rotszyld londyński. Zaliczał on do swych przyjaciół księcia Wellingtona, który w imieniu swego rządu pożyczał grube miliony od Rotszylda i z ich pomocą Napoleona pobił. Oczywiście przyniósł ten interes przebiegłemu bankierowi grube pieniądze, bo 24 miliony marek.

Nagle jak piorun z nieba przychodzi wiadomość, że Napoleon wylądował we Francyi.

Rotszyld przewidział, że przyszły los Europy zależy od pierwszej wielkiej

bitwy i postanowił położenie należycie wyzyskać. Wellington na wieść o przybyciu Napoleona do Francyi, natychmiast się udał do Brukseli. Za nim podążył i Rotszyld. Na polach Waterloo czyli Belle-Alliance przyszło do stanowczej, rozstrzygającej dalsze losy Europy bitwy. W pamiętnym tym dniu skromnie ubrany Rotszyld błąkał się po kwaterze sztabu generalnego, pytając oficerów o przebieg i prawdopodobny wynik bitwy. Nikt nie wiedział, po czyjej stronie będzie zwycięztwo. Nareszcie zauważył Rotszyld w oddali zastępy wojenne Blüchera. Jak gdyby przeczuł, że Blücher przechyli szalę zwycięztwa na stronę zjednoczonych wojsk, natychmiast dał koniowi ostrogi, popędził do Brukseli, i w następnym dniu rano znajdował się w Ostendzie. Tu jednak trzeba się było przeprawić przez morze, a tymczasem rybak żaden nie chciał się odważyć na przewiezienie Rotszylda, mimo, że tenże dawał za to w końcu 1000 franków, gdyż morze było bardzo niespokojne. Nareszcie jeden z nich za 2000 franków zdecydował się na niebezpieczny krok. Ponieważ zaś był przekonany, że prawdopodobnie już nie powróci do swej zagrody, więc kazał swej żonie owe 2000 franków doręczyć. Zaledwie jednak odbili od brzegu, uspokoiło się morze i Rotszyld na trzeci dzień stał już w gmachu giełdziarskim z wyrazem znękania na twarzy. Wszyscy giełdziarze, wiedząc, że był świadkiem bitwy, byli przekonani, że bitwa przegrana i że Napoleon tryumfuje. Od razu spadły papiery w niesłychany sposób. Rotszyld sam ich się pozbywał, ażeby całego majątku nie stracić. Naraz przychodzi wieść o zwycięztwie. Wszyscy poczynają Rotszylda żałować, że stracił majątek i że pewnie już się z upadku nie podniesie. Tymczasem pokazało się, że z jednej strony kazał Rotszyld papiery sprzedawać, ażeby pobałamucić towarzyszy, z drugiej za to w tem większej ilości je skupywał i zarobił od razu 30 milionów marek.

Ten wypadek ustalił sławę Rotszyldów. Od tego czasu Rotszyldzi zajmują w Europie pierwsze miejsce jako bankierzy i giełdziarze. Z roku na rok powiększały się ich miliony w niesłychany sposób i dziś liczą Rotszyldzi przeszło 5000 milionów marek majątku. Niejedna łza biedaka tkwi w tych miliardach i pomści się zapewnie prędzej czy później na ich właścicielach.

Praktyczne rady.

— **Babka, jako środek na ból zębów** Nie wszystkim zapewne wiadomo, iż babka szerokolistna (Plantago maior), wyrastająca koło dróg, przy ścieżkach i na dziedzińcach, przedstawiająca liście jajowato okrągłe 5 do 6 żeberkowe, zwykle w różyczkę rozpostarte na ziemi, jest jednym z najlepszych środków na ból zębów, szczególnie wypruchniałych. W tym celu na 1 część świeżych liści i korzeni nalewa się 10 części spirytusu, poczem wyciągiem takim napuszcza się spróchniały ząb i zażywa się wewnątrz 2 do 3 kropli Zwykle zaraz zmniejsza się ból i następnie całkiem ustaje.

— **Wywabianie plam owocowych.** Wrząca woda najlepiej i najprędzej usuwa plamy od wisien, porzeczek i innych owoców. Splamioną sztukę bielizny lub odzieży rozpościera się sztywno nad miską i póty nalewa się na nią wrzącą wodę, póki plama nie zniknie. Tarcie i pranie zupełnie są tu zbyteczne Świeże plamy znikną natychmiast; do wywabiania dawnych potrzeba więcej czasu i wrzącej wody.

Rozmaitości.

* **Korona królowej Wiktoryi.** Ozdoba urzędowa monarchini angielskiej przechowuje się w Towrze. Sporządzono ją dla małżonki Jakóba II-go; kosztuje 111,908 f. szt. (funt szterlingów liczy 20 marek). Z pozoru nie jest tyle warta, bo średnica dolnej obrączki wynosi ledwie pięć cali, a wysokość od dołu do szczytu krzyża złotego — cali siedm. Bliższe przyjrzenie się tej kosztowności usprawiedliwi cenę: złote obręcze pokryte są prawie zupełnie drogimi kamieniami; umieszczono na nich 605 dyamentów i 1,180 pereł.

* **Bizmut posiada własność wyjątkową,** że stygnąc powiększa swoją objętość o $^1/_{32}$. Niedawno przekonano się, że z niklem dzieje się to samo. Gdyby wysłano pod biegun północny pancernik zbudowany w klimacie umiarkowanym, i obity niklowemi blachami, kruszec ten, pod wpływem zimna, rozszerzyłby się, blachy popękałyby i okręt poszedłby na dno.

* **Francuz Regnard,** za pomocą bardzo dowcipnego przyrządu swego pomysłu, potrafił obliczyć szybkość, z jaką pływają ryby. Gdyby urządzono wyścigi na ryby, karp otrzymałby z pewnością pierwszą nagrodę, gdyż płynie z szybkością 59 centymetrów na sekundę. Po nim największą chyżość posiada białoryb, który w sekundę przebiega przestrzeń 50 cent. W ogóle ryby bardzo szybko pływają, ale także szybko się męczą.

* **W niektórych** prowincyach brazylijskich szczury są tak obfite, że koty, pułapki i trucizny nie wystarczają do ich wytępie-

nia. Żeby się pozbyć tej plagi, mieszkańcy muszą trzymać w domach węża boa, długiego na 3 do 4 metrów, a grubego jak ramię ludzkie. Gatunek ten, zwany giboia, jest zupełnie nieszkodliwy; przez dzień śpi w przedsionku a wieczorem udaje się na polowanie i straszne czyni spustoszenia wśród szczurów. Giboia kosztuje na targu od 5 do 8 fr., łatwo się oswaja i tak się przywięzuje do domu, że przeniesiony gdzieindziej, ucieka i wraca do dawnego mieszkania.

* **Gdzie żyją żubry?** Żubry, niegdyś bardzo pospolite w północnej i środkowej Europie, obecnie żyją tylko w puszczy Białowieskiej i na północnych stokach Kaukazu, na wysokości 7,000 stóp nad poziom morza, wśród lasów jodłowych i bukowych. W Białowieży i Kaukazie, żubry są otoczone opieką; nie wolno do nich strzelać. Mimo to liczba ich ciągle się zmniejsza.

* **Rok planety** Uranus równa się 84,000 latom ziemskim, gdyż takiego czasu potrzebuje, żeby dokonać obrotu dokoła słońca. Zima trwa tam 21 lat, a z powodu znacznego oddalenia od słońca jest nadzwyczaj srogą.

* **Ubezpieczenie okrętów** znane było już 43-im roku naszej ery; cesarz Kladyusz ubezpieczył swoją flotę. Ubezpieczenie na życie powstało dopiero w XVI. w., dzięki francuskiemu filozofowi Pascal'owi, który znakomitą swoją pracą »Teorya prawdopodobieństw«, dał podstawę temu przedsiębiorstwu. Pierwszą polisę wydało w r. 1583 biuro ubezpieczeń w Londynie; pierwsze jednak towarzystwo ubezpieczeń powstało tam dopiero w r. 1699, założone przez p. Stanfield'a. Trzy lata przedtem założono w Anglii pierwsze towarzystwo ubezpieczeń od ognia. Nigdzie ubezpieczenia na życie nie są tak rozpowszechnione jak w W. Brytanii: na 100,000 ludzi, 2,659 jest ubezpieczonych. Liczba towarzystw asekuracyjnych wynosi tam 96, suma ubezpieczeń sięga 1,000,000,000 f. st. (czyli 20 tysięcy mil. marek). Na 100 osób ubezpieczonych na życie, wypada tylko 5 kobiet.

* **Jaki wpływ muzyka wywiera na organizm?** Już w starożytności wiedziano o zbawiennym wpływie muzyki na umysł i ciało; najnowsze badania lekarzy stwierdzają, że muzyka przyspiesza obieg krwi i pobudza działalność serca.

* **Pierwszą wzmiankę o słoniach,** chodzących po linie, znajdujemy w Pliniuszu. Historyk rzymski pisze, że podczas wielkich igrzysk, wyprawianych przez Nerona na cześć jego matki Agrypiny, słoń chodził po linie, mając człowieka na grzbiecie. Podczas uroczystości na cześć Flory, Galba kazał wyprowadzić słonie, które tańcowały na linie. Wiadomo, że słonie są bardzo pojętne i posłuszne; niema prawie cyrku, w którym nie popisywałby się słoń z rozmaitemi sztuczkami. Jeden z nich pisał kredą na tablicy litery, pokazywane mu przez dozórcę.

* **Abisyńczyk myje się** tylko trzy razy w życiu; po urodzeniu, przed ślubem i po śmierci. Właściwie on sam używa wody i mydła raz tylko, gdyż po urodzeniu i po śmierci kto inny spełnia tę czynność za niego.

ŻARTY.

Amerykańskie gazety piszą, że pewien profesor udzielał swej małpie lekcyi na fortepianie. Pojętne zwierzę doprowadziło tak daleko, że swemi czterema nogami nietylko znakomicie najrozmaitsze sztuczki wygrywać potrafi, ale i karty z nutami nauczyło się odwracać ogonem. Szczęśliwy, kto temu uwierzy!

— Straciłem cały apetyt, — powiada żałośliwie olbrzymi gospodarz i smakosz nielada do sąsiada swego.

— No, to życzyć tylko mogę, ażeby go czasem nie znalazł uboższy człowiek, odpowiada ostatni, gdyż tenże zjadłby w przeciągu tygodnia całą swą chudobę.

Lekarz: Wiesz, kochany przyjacielu, żaden z mych pacyentów nie uskarżał się na złe postępowanie z mej strony.

— Wierzę, bo o ile słyszałem, pomarli wszyscy, a jak mówi poeta, umarli nie mówią.

Zupełnie inny człowiek.

Pewien pan miał tę niedobrą wadę, że pijał wódkę i za każdą razą po dwa kieliszki od razu. Zapytany: dla czego to robi, odpowiedział:

— Widzi pan, gdy wypijam kieliszek gorzałki, staję się zupełnie innym człowiekiem. Dla czego więc ten inny człowiek nie ma także wychylić kieliszka.

Poprawka.

W wierszu „pieśń polskiej młodzieży“, zawartym w poprzednim numerze „Światła“, w drugiej zwrotce ma być zamiast „do odstępstwa nas nie skuszą“, „wrogi nas do się nie skuszą“; w zwrotce piątej wyraz „dźwięki“ należy zastąpić wyrazem „oddźwięk“; w zwrotce siódmej w wierszu trzecim ma być „biorąc i wśród nas spodlonych“.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.